



Niewiasta



Małomówność.

Mają myśli, lecz bez słów
— i bez dźwięku jest ich głos.

Ludzi, którzy nigdy nie potrafią powiedzieć w porę serdecznego słowa, którzy w głębi duszy posiadają szczere, prawdziwe uczucie, lecz nie uważają za godne trudu wyrażenia ich, słusznie nazwać można niemymi. Niekiedy jest to ociężałość lub lenistwo, niekiedy nieśmiałość lub brak wprawy.

Gdy n. p. zostaną gdziekolwiek zaproszeni i doskonale się bawili, mrukną, wychodząc: „do widzenia“ lub najwyżej „dziękuję“, ale nigdy nie przewyciężą się, aby powiedzieć gospodarzowi trochę ujęmiej, jaką im sprawił przyjemność i co ich w szczególności ubawiło, dlaczego się u niego tak dobrze bawili, że dawno się już cieszyli, iż go odwiedzają i t. d. Jeśli to nieprawda, nie należy naturalnie nie mówić, lecz jeżeli tak się czuje rzeczywiście, dlaczego nie powiedzieć?

Czyż na świecie jest za dużo serdeczności? Przeciwnie, przyjazne słowo, z głębi serca wypowiedziane, jest bardzo rzadkie, a gdy zostało komuś dane, ten go nigdy nie zgubi, lecz nosi zawsze ze sobą sta-

rannie, jak uczeń dobre świadectwo. A gdy potem usłyszy szorstkie wyrazy od kogoś innego, bierze szybko łyk tej serdeczności doznanej i gorzki smak nią słodzi.

Jak często omijamy sposobność powiedzenia kilku słów pociechy lub współczucia, gdy ktoś przechodzi troski, chorobę, lub stracił kogoś drogiego! Stoimy niemi, chcielibyśmy wprowadzić coś powiedzieć, lecz na myśl nam nie przychodzą wyrazy odpowiednie; wolimy więc milczeć. A jednak słowo pociechy jest niby wieniec, który kładziemy na trumnę. Trzeba tylko pomyśleć, co by w danym wypadku mogło kogoś zmarłego najlepiej pocieszyć, przewyciężyć się i powiedzieć to prędko. Cobyście n. p. powiedzieli, gdyby wasza matka straciła siostrę lub swoją matkę? Zdaje mi się, że najodpowiedniej byłoby powiedzieć:

— „Biedna, kochana matko, będę cię teraz podwójnie kochał“.

Lub gdy wasz kolega przychodzi do szkoły po pogrzebie swego ojca. Wówczas podchodzi się do niego cicho, bierze się go za rękę:

— „Jak bardzo mnie boli, iż jesteś tak nieszczęśliwy! Przyjdź do mnie kiedy; może mi co opowiesz o twym ojcu“.

Powiedziecie zresztą co innego, — bo to nieznosne, leniwe milczenie, gdy przecież mamy serce i głos.

Czasami, gdy ktoś wyjeżdża, mało-mówny czuje się szczerze zmartwiony, iż musi się rozłączyć z krewnymi i przyjaciółmi, lecz nie powie, broń Boże, ani słowa o tem, tak, że inni przypuszczają, że nie są dlań wiele warci i że wyjazd nie sprawia mu żadnej przykrości. A przecież nie nie kosztuje otworzenie ust i powiedzenie.

— „Cieszyłem się myślą o tej podróży, lecz teraz tak mi przykro, iż muszę cię zostawić samego; będę tęsknił za tobą, a dziś już myślę o powitaniu“.

Tymi wyrazami ten ktoś drugi żyje podczas naszej nieobecności, czuje się dumny z tego przywiązania — dla czegoż więc nie powiedzieć tych wyrazów?

Dajmy na to, zrobiliśmy komuś przykrość i czujemy to dobrze — lecz nie otworzymy ust, aby powiedzieć, jak nas to martwi, że nie chcieliśmy tego; nie — na to się nie zdobędziemy, wolimy czekać, aż uraza zniknie jak woda po ulewie. Na nieszczęście obraza nie znika, jak woda po deszczu, lecz wsiąka w duszę, jak trucizna i zabija nieraz całą miłość. Wszystko to pochodzi z milczenia. Zdaje mi się, że usta są stworzone do czegoś lepszego, niż pochłanianie łyżek zupy, a nie przypuszczacie nawet, jakich pięknych linii nabierają one, gdy je przyzwyczajamy mówić serdeczne, życzliwe wyrazy wtedy, gdy jesteśmy usposobieni serdecznie i życzliwie.

Nie rozumie się przez to, że powinno się mieć serce na języku, gdyż wówczas serce wystygła, — lecz że powinniśmy po prostu przyzwyczajać się do pozbycia wszelkiej fałszywej nieśmiałości i lenistwa w mowie, wtedy, gdy to jest potrzebne i okazać innym, iż są nam mili, drodzy, że czujemy dla nich wdzięczność itd. Trzeba się tego po prostu uczyć, a umiejętność ta jest piękna i miłosierna.

Uczycie się przecież śpiewać, grać na skrzypcach i t. p., aby innym sprawić

przyjemność, dla czegoż więc nie uczyć się sztuki przyjemnego mówienia?

Lęk, który odczuwa każdy śpiewak lub śpiewaczka, gdy ma po raz pierwszy występować publicznie, nazywa się „trema“. Gdy się to przejdzie, już nigdy więcej nie doświadcza się tego. To samo się dzieje, gdy się zmuszamy po raz pierwszy powiedzieć parę słów uprzejmych lub przeprosić kogoś. Trzeba się na to odważyć, inaczej nigdy nie zostaniemy artystami, lecz partaczami mowy ludzkiej — ludźmi niemymi.

Do tych to mówi poeta:

A gdy słowo masz miłości,
Nie chowaj go w sercu —
Odlam je jak gałąź kwiatu,
Aby ból zlagodzić,
Świat jest pełen nienawiści,
Naokół są rany;
Słowo, co wytrysło z serca,
Może ból uleczyć!

Do matek Polek.

O matki-Polki, już dziś się kolebie
U dzieci waszych, drobne serce w łonie,
Już upatrują tej gwiazdki na niebie,
Co wnet promienną jasnością zapłonie.

O matki, świećcie dawne obyczaje,
Niech obcy zwyczaj pośród was nie wzra-
[sta,

Na straży tego, co swojskie, niech staje
Polka, to znana z dawnych cnót, niewiasta.

Więc matki-Polki, wy stańcie na straży
Tego, co nasze i drogie i mile,
Od swych domowych, cnót eichych ołta-
[rzy,

Tehnicie w swe dzieci hart, wolę i siłę.

Tehnicie w ich serca takie ukochanie
Dawnych zwyczajów i świętych pamiątek,
Aby wytrwały, stojąc niezachwianie
I snując w przyszłość minionych dni
[wętek,

Groźba.

(Z hiszpańskiego.)

Zabrział dzwon południowy, a w chwilę potem brama się rozwarła, przez nią zaś wypłynęła fala ludzi milczących i znużonych. Byli to robotnicy fabryki. Tłum rozproszył się, jak obłok, który pod tchnieniem wiatru rozwiewa się na części i niknie. Była to z początku masa, która dzieliła się na grupy, potem na pary, przyzwyczajone do rozchodzenia się bez pożegnania. Jedni udawali się wprost do domów, drudzy wstępowali do oberży lub barów, wszystkich wehłaniało ruchliwe życie przedmieścia.

Jeden z ostatnich wyszedł Gaspard Santigos, zwany inaczej Gaspardem albo Gasparonem. Był bardzo wysoki i silnie zbudowany, posiadał też moc nadzwyczajną.

Szedł w cieniu murów, minął dwie czy trzy ulice i place puste, wreszcie znalazł się w alei, wysadzaney wiazami; pospłatanie ich konary tworzyły sklepienie cieniste, pod którem oczekiwała na niego młoda kobieta, czysto odziana i mała. Przed sobą trzymała kosz, a na kolanach dziecko; obok niej przywarował pies. Zwierzę radośnie pobiegło ku swemu panu, a dziecko wyciągało do ojca małe rączkę. Gdy Gaspard wziął kosz i wydobywszy chleb, krajał, kobieta nie przestając patrzeć na męża, wyjęła i postawiła na boku salate, wyciągnęła butelkę wina czerwonego, serwetę, drewniane łyżki i wylała na głęboki talerz fajansowy żółtawą, dymiącą polewkę.

W niespełna godzinę ozwał się z oddali dzwon fabryczny, wzywający robotników do powrotu. Gasparon dokończył posiłku, skreślił papierosa, ucałował dziecko, rzucił niedojadki psu i uściskawszy serdecznie młodą kobietę, puścił się znów w stronę fabryki.

Zniknął za bramą, przebył podwórze, pełne odłamków żelaza i wszedł w kory-

tarz długi i szeroki, położony na piętrze, oświetlony przez okno, za którego zapylonemi szybami odgadywało się poczerńnięte mury, kupy węgla, syczenie ognisk w kuźniach i w wysokich kominach, które wyrzucały słupy dymu ciężkiego, prze-syconego pyłem koksu. Korytarz przecinały wzdłuż i wszerz splecione linie lin stalowych, drutów brunatnych, dźwigni, kół połączonych rzemieniami, które podnosiły się, opadały, zwiły, krzyżowały z sobą i kręciły z zawrotną szybkością tak samo, jak członki organizmu żywego, w którym żaden nie może się zatrzymać, nie obezwładniając innego. Podłoga drżała od gwałtownego wyładowywania się pary. Z innych oddziałów dochodziły odgłosy uderzeń młotów o żelazo i warczenie maszyn, połączone ze śpiewami robotnic.

Z tym korytarzem sąsiadował drugi taki sam; wązki mostek drewniany przerzucony był po nad podwórzem, rozdzielającym korytarze; łączył on dwa skrzydła gmachu; obok tej kładki, obracało się na swej osi ogromne koło rozpędowe.

Gasparon był już w połowie mostku, gdy ujrzał dążącego z drugiego korytarza młodego robotnika, który biegł tak szybko, że nie mógł się na razie zatrzymać. Ponieważ nie mógł się też cofnąć, a widział, że obaj nie zmieściliby się w przejściu tak wązkim, Gasparon usunął się na brzeg kładki, możliwie jak najmniej zajmując miejsca; młodzieniec wpadł na kładkę, jak błyskawica, potknął się i runął gwałtownie, zwisając całym korpussem po za kładkę. Gasparon, więcej myśląc o niebezpieczeństwie towarzysza, niż o swoim własnem podał mu rękę, a młodzieniec, oszołomiony strachem, przy-czepił się do niej tak silnie, że zachwiał ratującego towarzysza. Ten, usiłując instynktownie odzyskać zachwianą równowagę wyciągnął poza siebie drugą rękę, którą natychmiast koło maszyny strząsało tuż nad dłonią.

Młody robotnik opowiadał potem, że mimo przerażenia, usłyszał trzask podobny do tego, jaki wydaje drzewo, gdy

pod uderzeniem siekiery lecą z niego drzazgi. Ale Gasparon miał dosyć siły i spokoju, aby się cofnąć kilka kroków. Pociągnął chłopca za sobą i dopiero, gdy go postawił całego i zdrowego na podłodze korytarza, upadł sam, zmożony bólem strasznym.

Podnieśli go towarzysze, a ponieważ nie było lazaretu w fabryce, ponieśli w krześle do sąsiedniego szpitala, gdzie trzeba było mu amputować rękę do łokcia.

Powrót do zdrowia trwał długo; podczas tego Gasparon z żoną wydali wszystkie swoje oszczędności, zastawili nawet odzież świąteczną; potem pomogli im nieco koledzy, sąsiedzi, wreszcie dostali zapomogę z kasy strejkowej. Chory nie mógł myśleć o zdobyciu pracy, gdyż stracił rękę prawą.

Po upływie dni czterdziestu od chwili wypadku, żona Gasparona udała się do kasy fabrycznej.

— Co powiecie? — zapytał jeden z urzędników.

— Jakże się ma Gasparon po tym nieszczęśliwym wypadku? — zagadnął drugi.

— Pozostanie bez ręki, panie.

— Więc po co tu przychodzicie?

— Po zapłatę.

Jeden z urzędników zaczął przeglądać kontrolę, mrużąc:

— Gaspar... Gaspar...

— Zapisany jest Santigos. Galerya-prawa, drugi oddział — rzekła kobieta.

— Tak! Gaspar Santigos, znalazłem.

Zrobił rachunek i zapytał:

— Czy otrzymał zapłatę za tydzień poprzedni?

— Tak, panie...

— Zatem wypada...

Wykwintnie ubrany jegomość, który siedząc na boku, czytał gazetę, uchylił ją nieco i nie patrząc na kobietę, zapytał:

— Którego dnia to się zdarzyło?

— Dwudziestego ostatniego miesiąca, w środę o drugiej — odparła smutnie.

— Więc rachunek prosty — rzekł ów jegomość: — poniedziałek jeden dzień, wtorek — drugi, środa... razem dwa i pół

dnia; licząc po cztery pesetas, pięćdziesiąt centów dziennie, mamy jedenaście pesetas dwadzieścia pięć centów.

I odwrócił się plecami.

Urzędnik wyciągnął z kasy koszyk druciany z drobną monetą, porachował pieniądze i wręczył je kobiecie. Wyszła biedna, płacząc i słysząc było jeszcze szelest jej kroków, gdy wytwornie ubrany jegomość rzekł surowo:

— Nie zapomnij pan zamotować, że Gasparon nie należy już do fabryki.

Robotnicy dowiedziawszy się, że Gasparonowi zapłacono tylko za dwa i pół dnia, oburzyli się ogromnie.

Zwołano zebranie w pewnej oberży, wezwano także kalekę, aby dokładnie dowiedzieć się o przebiegu wypadku.

Gasparon opowiedział wszystko, pokazał okaleczoną rękę, a podczas narady, nie przestawał prosić towarzyszy o zapalenie mu papierosów, gdyż nie nauczył się jeszcze posługiwać ręką lewą.

Narady były burzliwe, zgromadzenie roznamietniało się coraz więcej. Słychać było groźne okrzyki:

— Dzień ośmiogodzinny!

— Powiększenie zarobków!

Naraz odezwał się głos słaby, ale stanowczy.

— Nie przyszedłszy tutaj po to, aby rozprawiać, ale żeby obmyśleć zemstę. Macie odwagę czy nie? Wiem, gdzie jest dynamit. Ciągnijmy losy: ten, którego los wskaże, rzuci bomby.

Długie milezenie zapanowało po tej strasznej propozycji. Jednych przeraziła myśl zniszczenia, innych obawa kary.

Gasparon podniósł się, wypuścił parę kłębow dymu z papierosa i stając w świetle słabego lampy, aby widziano na jego twarzy silne postanowienie, rzekł:

— Wszystko to do niczego nie prowadzi. Kasa Pomocy, pensja z funduszu patronatu? Marzyciele! Strejk? Po co? Aby się spotkać z przeszkodą niezwykłą, gdy braknie chleba w domu? aby się zadłużyć lub wrócić z musu do pracy? Co do bomb — to okrucieństwo dzikie

i podłość. Nie chcę, żeby na mój rachunek zabijano kogokolwiek. Pozostawcie mi moją zemstę, będzie ona silną, ręczę wam!

Wszyscy, z rozmaitych względów, głównie zaś czytając w oczach Gasparona jakieś straszne postanowienie, zadość uczynili jego żądaniu i rozeszli się natychmiast bez żadnego oporu.

Nazajutrz Gasparon zaczął prosić przechodniów o jałmużnę u przedsionka pałacu, w którym mieszkał właściciel fabryki. Odtąd przebywał tam, ciągle, oparty o kratę ze złoconymi ozdobami, blisko okna, po za którego szybami widać było jedwabne firanki. Widziano go tu od wschodu aż do zachodu słońca, podnoszącego swą okaleczoną rękę, opierającego się całym swym ogromnym korpusem o marmurowy fronton pałacu. Na szyi miał zawieszoną małą tabliczkę z napisem: „Wydalony jako nieużyteczny, z fabryki don Martina Penalva“.

Blągania, groźby, datki ofiarowane mu w celu skłonięcia go do opuszczenia tego posterunku, wszystkie słowem wysiłki czynione w tej mierze nie zdały się na nic. Stał tam, gdy bogaty fabrykant wychodził na miasto za interesami lub dla użycia przyjemności, gdy żona jego wracała z kościoła, gdy jego córki udawały się na wizyty, odziane w suknie wykwintne.

Ten żebrak przy bramie pałacu był żyjącem upokorzeniem niemiłosiernego bogacza i zarazem straszną przepowiednią.

Ręka, którą wyciągał po jałmużnę, zdawała się grozić...

Rady gospodarcze.

Zwierzęta szkodliwe i pożyteczne.

(Dalszy ciąg.)

Ze wszystkich gadów, jakie zamieszkują w naszej strefie, niebezpieczna jest tylko żmija. Inne gady są więcej pożyteczne niż szkodliwe, zjadają bowiem mnóstwo robaków, owadów i ślimaków.

Ropucha, budząca u wielu ludzi wstręt, jest przez to pożyteczna, iż oczyszcza pola i ogrody z robaków i owadów. Należy tylko unikać dotknięcia jej, zwłaszcza gdy się ma jaką ranę na rękę; gdyż podrażniona, wydaje ona w swej obronie jad, który zatrzuwa krew. Gdy jad takowy tryśnie do oka, może oślepić, jeśli zaraz nie nastąpi ratunek.

Ze wszystkich stworzeń najwięcej szkody przynoszą nam owady, które zarazem najtrudniejsze są do tępienia, tak z powodu małych rozmiarów, jak dla swej mnogości. Mucha jest z nich najdokuczliwszą, tem bardziej, że wszystkie trucizny, posypywanie proszkiem perskim i t. p. niewiele zaradzają złemu. Zamykanie i zasłanianie okien w części zapobiega ich natarczywości. Od komarów także trudna jest obrona, odpędza się je najlepiej dymem tytoniowym. Najlepszym środkiem zabezpieczenia się od pcheł, pluskiew i innych pasożytów, żyjących kosztem człowieka, jest czystość. Proszek roślinny pyvethrum skuteczniej je wygubia niż kamfora, proszek perski, kajenna i inne środki polecane w tym celu.

Smarowanie łóżek i sprzętów benzyną, terpentyną, albo esencją smoły z węgla kamiennego, zabezpiecza od pluskiew. Sławny chemik Thenard podaje następujący sposób na wytepienie pluskiew. W 100 częściach wody rozgotować 2 części szarego mydła i wrzącym płynem smarować, za pomocą dużej gąbki przywiązanej na kij, ściany pokoju, szczeliny, łóżka, sienniki i materace. Szpary w ścianach, zalepiać kitem, złożonym z kredy i kleju zwierzęcego. Przeciw kleszczom i innym pasożytom, tak dokuczliwym dla zwierząt domowych, jedyny istnieje środek: nacierać zwierzęta odwarem z tytoniu.

Tysiące owadów niszczy nasze pola i ogrody, ale wymienimy tu tylko niektóre: W e s z k i roślinne napastujące szczególnie młode drzewka w szkółkach. Zalecają przeciw nim następujący środek: 10 gr. szczawianu potażu rozpuścić w 120 gr. gorącej wody, dodać trochę szarego mydła

i płynem tym smarować za pomocą pędzla drzewo, które obsiadły weszki. Drugi bardzo skuteczny sposób jest taki: ½ kg. gorczycy nalać 1 litrem spirytusu, postawić w ciepłym miejscu, wstrząsać często flaszką, a po tygodniu skropić miejscą napadniętą przez weszki. Kilkakrotnie użycie tego płynu, wyniszczy zupełnie te szkodliwe owady. Smarowanie od czasu do czasu krat drewnianych, podpórek i parkanów, smołą z węgla kamiennego zabezpiecza przeciw napaści owadów. Gąsienice trzeba wytepić w zimie nad ranem, opalając ich oprządy za pomocą małej lampki, osadzonej na kiju.

Nie dosyć jest niszczyć gąsienice na drzewach, trzeba z nich także oczyszczać sąsiednie krzaki, bo inaczej przejdą na drzewa. Chcąc je od tego zabezpieczyć, trzeba posmarować pnie smołą na kilka palców szeroko. Na wiosnę trzeba strząsać z drzew gąsienice, zbierać i palić. Można także oczyszczać z nich drzewa za pomocą pompy ręcznej. Jeden jeszcze dobry sposób zabezpieczenia się przeciw tym szkodnikom, polega na paleniu pod wiatr ognia z mokrej słomy lub uschłego zielska. Gąsienice i poczwarki odurzone dymem, tysiącami spadają na ziemię; trzeba tylko dokonywać tego rano. Skrobanie i bielienie kory drzew zabezpiecza je przeciw wielu owadom. Liście zwinięte, w których są oprządy owadów, trzeba starannie z drzew zbierać. W wyszukaniu jaj wyręczają nas ptaki. C. d. n.

RADY ZDROWIA.

Pielęgnowanie chorych na gorączkę.

Wiele chorób, zwłaszcza zaraźliwych, jak np. tyfus, odra, ospa, szkarlatyna i inne, wywołują u chorego silną gorączkę. Choroby te odrazu, jak to mówią, ścinają z nóg człowieka. Czuje on ogromne osłabienie, ustać na nogach nie może, bo mu się nogi trzęsą, głowa mu cięży i łamie go po kościach; wprędce przychodzą dre-

sze i chorego, jak powiadają febra trzęsie, a potem zaraz rozpala go gorączka. O takich chorych wielce się kłopotać i troszczyć należy, bo leżą oni często bez przytomności, bez sił, zupełnie więc zdani są na łaskę swych opiekunów. Takiego chorego trzeba jak najprędzej ułożyć do łóżka czysto zasłanego i ciągle mieć w pamięci, ażeby w izbie nie było zaduchu. Bardzo szkodliwe jest rozpowszechnienie po wsiach mniemanie, że choroby gorączkowe a zwłaszcza z wysypką połączone, jak np. ospa, odra, szkarlatyna — wymagają trzymania chorych w jak najcieplejszym powietrzu. Toteż zamykają zwykle przy takich chorych starannie drzwi i okna chorego przykrywają pierzynami, a w zimie ciągle palą w piecu; biedny zaś chory musi oddychać dusznym, zepsutem powietrzem. Otóż pamiętajcie sobie, że najlepszym środkiem leczniczym przy tych chorobach jest czyste, świeże, nie za gorące powietrze. Jeżeli chory gorączkuje ciągle ma w izbie świeże powietrze, to na pewno choroba u niego łżejszą będzie i pewniej on wyzdrowieje, niż ten biedak, którego trzymają w zaduchu. Otwierajcie więc śmiało przy takich chorych okna, nie bojąc się wcale zaziębnia. W lecie można takich chorych, w pogodne ciepłe dni, wynosić z łóżkiem na świeże powietrze, a wielce im to pomoć będzie.

Baczenie, aby w izbie nie było za gorąco; nie zawiele więc przepalajcie w piecu, w czasie zimy. Chorego nie przykrywać pierzynami, ale lekką kołdrą; chwilowo tylko można ciepłej okryć chorego, a mianowicie, jeśli mu dreszcze ustąpią i gorączka go rozpala, trzeba natychmiast usunąć cieplejsze przykrycie.

U chorych gorączkujących trzeba przestrzegać czystości więcej jeszcze, niż u innych chorych. Bieliznę więc trzeba im zmieniać jak najczęściej, a zdjętą brudną bieliznę w gorącej wodzie z mydłem lub ługiem wygotować dobrze, aby zniszczyć w niej zarazki, a potem dopiero przeprać. Chory w silnej gorączce leży najczęściej na wznak, nie wiele się poruszając; a kie-

dy bezprzytomność większego dojdzie stopnia, mocz i stolec oddaje często bezwiednie pod siebie. Należy go wtedy dobrze podmyć ciepłą wodą z mydłem, po obmyciu dobrze wytrzeć czystą szmatą i zmienić mu zaraz koszulę i prześcieradło.

C. d. n.

ROZMAITOŚCI.

Taniec dawniej a dziś.

Taniec u Assyryjczyków, Egipcyan, Hebrajczyków, a także u innych ludów starożytnego Wschodu, stanowił konieczną i ważną część obrzędów religijnych. — Stąd przy świątyniach ówczesnych utrzymywano w tym celu tancerki, które za pomocą tańca składały hołd bóstwu.

Szczytu artystycznej doskonałości dosięgnął taniec w Grecyi. Głównym rodzajem były tańce wojenne, uprawiane szczególnie w Sparcie. Również uroczystości na cześć Artemidy i Apollina polegały głównie na tańcu. Stanowił on pozatem niezbędną część przedstawień teatralnych, na których chór jednogłośnie ze śpiewem wykonywał odpowiedni do treści utworu taniec, tragiczny bądź satyryczny.

W Rzymie istniały starożytne tańce salijskie, zarówno w kuleie religijnym jak i życiu społecznym. Taniec nie odgrywał tu jednak początkowo ważniejszej roli, dopiero Grecy, mistrze kulturalnego i artystycznego życia Rzymian, z czasem zaszczerpili wśród arystokracji rzymskiej kult tancerek, który stał się u schyłku państwa rzymskiego czynnikiem, rozluźniającym obyczaje.

Kościół katolicki, stosując się do nawyknień ludowych, dozwalał początkowo na wprowadzenie tańca religijnego do obrzędów kościelnych. Później jednak w wieku VIII-tym Synody prowincjonalne zakazały tańców po kościołach z powodu licznych nadużyć. — Dotychczas zachowywał się taniec religijny w Hiszpanii, tań-

czą go chłopcy przed Najświętszym Sakramentem.

Osobna wzmianka należy się polskim tańcom. Ze wszystkich narodów Polacy mają najwięcej charakterystycznych tańców. Pomijając tańce z czasów pogańskich, które były częścią kultu religijnego, kronikarze polscy wspominają o płasach na dworach królów i panów polskich. Był taniec matron, poważny i uroczysty, i dziewiczy taniec, żywszy i skoczniejszy, oba kończące się ukłonami.

U Polaków, jako narodu wojennego, tańce musiały przybrać charakter wojenny i gromadny. Pierwiastek ten przebija się w każdym tańcu polskim, czy w polonezie, zamaszystym i posuwistym, tańczonym przy karabeli, czy krakowiaku, mazurze, kuiawiaku.

Do wszystkich tych tańców istniały przyspiewki. Łączono je także z sobą, zaczynając od poloneza, a kończąc krakowiakiem lub obertasem, w miarę rozchocenia się tańczących.

Niegdyś tańczono klaskanego, którego szczątki pozostały w tańcu żydówek na weselach żydowskich. — Obok tych, wiele tańców ludowych utrzymuje się do dziś dnia w różnych stronach Polski.

Kichanie. Dziś jeszcze, gdy kto kichnie, życzy mu się zdrowia. Zwyczaj ten przeszedł do nas w złagodzonej formie od zabobonów, pielęgnowanych przez rasy niższe.

I tak Zulusi (murzyni w Afryce) dowodzą, że kto kichnie, jest wtedy błogosławiony, gdyż duch przodków wstąpi weń, chwalał wówczas przodków swych i prosi ich o błogosławieństwo.

Murzyni utrzymują, że przy kichaniu Itongo (duch przodka) wstępuje w człowieka i daje mu moc zapamiętania.

W Gwinei jeszcze w XVIII wieku, gdy jaka znakomita osobistość kichnęła, obecni życzyli jej wszelkiej pomyślności, padali na kolana i całowali ziemię.

W Nowej Zelandyi znów odmawiano zaklęcia, aby odwrócić zło od kichającego dziecka.

W Europie przesady, dotyczące kichania, rozpowszechnione są pośród wielu ras i okolic od bardzo dawna. Mędrzec i filozof grecki Arystoteles, żyjący przed Narodzeniem Chrystusa) mówił, że lud uważa kichnięcie za rzecz boską, a kaszel przeciwnie.

Formułka żydowska przy kichaniu brzmi: Dobrego życia!

Muzułmanie powiadają: Chwała Allahowi! (To jest: Chwała Bogu)!

U nas przy kichnięciu składają życzenia: Na zdrowie! Pomyślności! lub podobnie. Lud nasz ma na tym punkcie moc przesądów, sądząc, że inne ma znaczenie, gdy się kichnie na czczo, a inne, gdy po jedzeniu itd.

W okolicy Przemyśla lud wierzy, że jeśli się kichnie przed drogą, to droga będzie pomyślna.

W Chełmskiem, jeśli kichnie małe dziecko, żegnają się krzyżem świętym, aby mu w usta dyabeł nie wleciał. W okolicy Andrychowa mówią: jeśli kto kichnie w poniedziałek, to na nowinę, we wtorek na trunek, we środę na gościa, we czwartek na zmarłego, w piątek na smutek.

Górale utrzymują, że kichającemu dziecku w noszek wchodzi dyabeł.

Tak więc życzenia zdrowia przy kichaniu są dalszym ciągiem zabobonów.

Fraszki.

Prawdopodobność. — Co jest w tej butelce, którą pan wiesz ze sobą? — zapytał w wagonie jeden podróżny drugiego. — To jest płyn, który człowieka czyni po wypiciu, prawdomównym. — Oho, chciałbym go też skosztować. — Dobrze, napij go się pan trochę. — Ha, hu! — zawołał tamten, krzywiąc się po skosztowaniu, straszliwie — przecie to ocet! — Otóż widzisz pan, — odrzekł właściciel butelki — właśnie prawdę powiedziałeś.

Sam potrafi. Szewc laje swego czeladnika: — I co to za robota! Wieleż to ja razy mówię ci, aby porządnie wszystko opracować! Gdybym chciał mieć taką fuszerkę, to mógłbym sam ją zrobić!

Na wsi. Wójt do żebraka: — Skazuję cię na 50 groszy kary za to, że mimo zakazu, prosisz o jałmużnę.

— Żeb rak: — lecz ja nie mam skąd płacić tyle, bo posiadam tylko 37 gr. — Wójt: — No, to prędko musisz wyzebrać jeszcze 13 gr., aby wystarczyło. —

Niema straty. Wychodząc z bożnicy, mówi Eliasza do Natana: — Czemu jesteś taki smutny? możeś chory? — Nie, tylko tak dotknęło moje serce, kazanie rabina, który powiedział, że człowiek jest z prochu i w proch się zamieni. — Jaki ty głupi, Natan! to przecie nie jest żadna strata. Dopiero wtedy byłoby nieszczęście, gdybyśmy byli zrobieni ze złota, a w proch się obrócili!

Dowód zbrodni. Sędzia pokazując oskarżonemu pałkę, pyta: — Czy znasz tę pałkę? — Nie znam. — Ty uparty łotrze! Zobaczysz, nauczę ja cię, jak się przyznać do zbrodni! (do stróża). Odprowadzić go do więzienia! Na drugi dzień znów, pyta więźnia: — Czy znasz tę pałkę. — Tak, panie sędzio, znam ją. — No, to mi się podoba, że nareszcie się przyznajesz! A skąd ją znasz?? — No, bo pan sędzia mi ją wczoraj pokazywał.

Zagadka.

Pierwsze to rzeka w obcym kraju. Drugie i trzecie, liczba zbiorowa. — Całość otwierajmy chętnie tak gościowi, jak temu, co o litość prosi.

Znaczenie zagadki w 10-ym nrze „Nie wiasty“ **ług — pług — dług.**

Wydawca i redaktor naczelny: Jan Zamorski, redaktor odpowiedzialny: Alfred Sikorski w Bielsku.

Drukarnia Tow. Domu Narodowego (P. Mitrega) w Cieszynie.